

030/1938,-3

030/1938,
-3

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

O R G A N
TOWARZYSTWA
KRZEWIENIA
POPRAWNOŚCI
I KULTURY
JĘ Z Y K A

N_R 3

WARSZAWA LISTOPAD R. 1938

T R E Ś Ć N U M E R U:

I. ARTYKUŁY:

1. Z teki pośmiertnej prof. Stanisława Szobera.
2. Językoznawstwo a walka o pogląd na świat, — J. Tokarskiego.
3. Językoznawstwo a radiofonia, — Witolda Doroszewskiego.
4. Uwagi o wyrażeniach naśladowanych, — Józefa Rossowskiego.

II. Z ŻYCIA WYRAZÓW I RZECZY:

Gwara a zadania szkoły powszchnej, — Henryka Friedricha.

III. ROZTRZĄSANIA:

Polacy, Polonia, Polactwo, — Witolda Doroszewskiego.
W sprawie Olzy i Śląska Zaolzańskiego, — Jerzego Żebrowskiego.

IV. OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW, — W. G.

V. CO PISZĄ O JĘZYKU? — A. S.

VI. OD REDAKCJI.

VII. KRONIKA.

NAKŁADEM ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POL.

REDAKCJA: WARSZAWA, UL. MORSZYŃSKA 43.

ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

TELEF.: Redakcji 669-70, Administracji 269-49. GODZINY BIUROWE: Administr. 8 — 15.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata roczna wraz ze składką członkowską do T-wa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka zł 8.—
za granicą zł 10.—
Bez składki członkowskiej zł 5.— i 7.—
Prenumerata dla członków Związku Nauczycielstwa Polskiego zł 4.—
Prenumeratę nadsyłać należy do Związku Nauczycielstwa Polskiego,
ul. Smulikowskiego 4. Konto P. K. O. 5880.

KAŻDY CZŁONEK ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO MOŻE OTRZYMAĆ „PORADNIK JĘZYKOWY” BEZPŁATNIE JAKO DODATEK DO „GŁOSU NAUCZYCIELSKIEGO”.

Zarząd T-stwa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka — Mianowskiego 24. P. K. O. 2490.
Poradnia Językowa, biblioteka Towarzystwa oraz dostawa dawnych roczników „Poradnika” Smulikowskiego 4.

Wychodzi co miesiąc, prócz miesięcy letnich.

Drukarnia Związku Nauczycielstwa Polskiego, Warszawa, ul. Smulikowskiego 4.

PORADNIK JĘZYKOWY

(założony r. 1901 przez ROMANA ZAWILLI, SKIEGO)

ORGAN TOWARZYSTWA KRZEWIENIA POPRAWNOŚCI I KULTURY JĘZYKA

„Poradnik Językowy” zalecony został przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dla szkół wszelkich typów rozporządzeniem Nr II — 9864/32, ogłoszonym w Nrze 9 Dziennika Urzędowego Min. z r. 1932.

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Wśród papierów pozostałych po ś. p. Profesorze Szoberze znajdujemy fragment, który zamieszczamy poniżej.

Redakcja

(—) W jednym z czasopism znalazłem takie zdanie: *Wojna bojowników obydwóch wrogich obozów potrwa około dwa lata*. Mnie ten zwrot razi. Wiem, że mówimy: *wojna potrwa blisko dwa lata*, ale należy mówić: *wojna potrwa około dwóch lat*. Czy spostrzeżenie moje jest słuszne? (K. L. Warszawa).

(S. S.) Tak. Mówimy: *blisko dwa lata*, ale: *około dwóch lat*. W pierwszym wypadku przysłówek określający (*blisko*) łączy się z wyrażeniem: *dwa lata* na podstawie *p r z y n a l e ż n o ś c i*, to znaczy na podstawie takiego związku, który wynika sam przez się z przynależności znaczeniowej wyrazu określającego (*blisko*) do wyrazu określonego (*dwa lata*); związek taki nie ma żadnego wykładnika gramatycznego i dlatego przysłówek określający (*blisko*) ani sam nie dostosowuje swojej formy do człona określanego (*dwa lata*), ani nie wpływa na zmianę formy tego człona. Inaczej w wypadku drugim, w wyrażeniu: *około dwóch lat*. Tutaj przysłówek określający: *około* pochodzi od przyimka *około*, a ponieważ pochodzenie to jest bardzo żywo odczuwane przez świadomość językową, więc wyraz *około*, pomimo swojego — przysłówkowego tutaj — znaczenia, zachowuje składnię przyimka *około* i rządzi członem określanym. Mówimy więc *około dwóch lat*, a nie: *około dwa lata*.

Poręcz fotela zastępuje wyobraźni małego chłopca konia, człowiek pierwotny widzi w liściach drzew włosy, w promieniach słońca — strzały boga. Dla ludzi dojrzałych umysłowo są to wszystko poetyckie przenośnie. Kto się kiedyś za młodu parał łaciną, temu przychodzi na myśl początkowe wiersze owej pięknej ody (4, 7), w której poeta na widok odmładzającej się na wiosnę przyrody myśli o nieubłaganej śmierci.

Diffugere nives, redeunt iam gramina campis Arboribusque comae.

Splynęły śniegi i ruń już pola, a drzewa

Zielony włos odziewa.

(Tłum. W. S. Ogrodzińskiego).

Dla nas to wszystko jak dla rzymskiego poety jest piękną przenośnią, ale dla umysłu pierwotnego to *r z e c z y w i s t o ść*, prawda, która wynika stąd, że się



030/0383

utożsamia wyobrażenia w istocie swojej różne, dlatego tylko, że wykazują jakieś dalekie, niekiedy przygodne podobieństwa.

To ogólne prawo psychologiczne działa także w zakresie wyobrażeń językowych. Ludzie z mniej rozwiniętą i wyrobioną kulturą gramatyczno-językową mieszają wyrazy i wyrażenia, należące do różnych kategorii znaczeniowych, dlatego tylko, że w pewnych wypadkach zaznacza się między nimi jakaś analogia.

Wyrażenie: *około dwa lata* zostało zbudowane na wzór składni zwrotu: *blisko dwa lata*, jest przeto formą analogiczną, teoretycznie możliwą, ale w praktyce kulturalnego języka nieprawidłową. W języku jak w życiu zwalczają się wzajemnie dwie przeciwne sobie dążności: jedna chciałaby wszystko podciągnąć pod jeden strychulec, druga ceni jednostkową indywidualność. Jedna wprowadza prostotę, druga się opiera p r o s t a c t w u. Jedna oszczędza wysiłki w o l i, druga dogadza u c z u c i u, bo jak mówi poeta, *metabolē pánton glykḗ* (Euripides. Orestes. 234) *varietas delectat, różnaitość nęci*.

JĘZYKOZNAWSTWO A WALKA O POGLĄD NA ŚWIAT

„Czy pan się naprawdę zajmuje językiem? To musi być strasznie nudne. Słowniki, gramatyki szkolne, regułki, od czasu do czasu reformy ortograficzne — i to chyba wszystko. Czy nie lepiej skierować zainteresowania gdzie indziej, do zagadnień biologicznych, filozoficznych czy psychologicznych, mających naprawdę znaczenie dla poglądu na świat i dający upust twórczym, odkrywczym siłom umysłu? Po cóż wiednąć w kolekcjonerstwie takim jak filatelistyka albo zbieranie motyli? Co to daje pod względem myślowym?”

Oto autentyczna przemowa pewnej osoby o sporych zasobach wiadomości z różnych dziedzin wiedzy i o rozległych zainteresowaniach naukowych skierowana do autora niniejszego artykułu. Same zagadnienia tu wysunięte zasługują na uwagę. Czy istotnie językoznawstwo w oderwaniu od jego celów dydaktyczno-praktycznych można nazwać takim kolekcjonowaniem osobliwości, jak zbieranie motyli lub znaczków pocztowych? Czy jest ono tylko „rzemiosłem” naukowym, czy też, że się tak wyrażę, nauką pełnokrwistą, odpowiadającą jakiemuś zasadniczemu i odwiecznemu zainteresowaniu człowieka? Innymi słowy, czy język nadaje się jedynie na żerowisko dla celów muzealnych, czy też stanowi taki dział rzeczywistości, którego zdobycie i ogarnięcie przez myśl stanowi ważny wyłom w otaczającym nas mroku niewiedzy? Ten czy inny sposób rozwiązania tego zagadnienia może rozstrzygnąć o charakterze językoznawstwa jako nauki.

Do niedawna głównym przedmiotem uwagi był fakt, że język przechował ślady działalności myślowej ludzi z epok minionych, których szczegółowe rozpatrzenie może rzucić snop jasnego światła na zamierzchłe, zupełnie nieznanne okresy przedziejowe. Wyniki osiągnięte w tej dziedzinie są znaczne. Przecież gramatyce porównawczej zawdzięczamy wiedzę o wspólnocie prasłowiańskiej, a nawet praindo-

europiejskiej. Nauka więc o języku staje się — na równi z archeologią i antropologią, a nawet w większej mierze od nich — nieodzowną pomocnicą historii, tam zwłaszcza, gdzie sama historia nie może już sięgać. Historyzm XIX wieku stanowił to zasadnicze tło, na którym rozwinęła się problematyka językoznawstwa. Wszystko w języku oceniano pod kątem przydatności dla celów historycznych, a działem podstawowym, syntetyzującym wszystko, była gramatyka historyczna poszczególnych języków, na której opierały się rekonstrukcje dawnych stanów językowych, a czasem dociekania w związku z zagadnieniem genezy mowy. Były to plany rozległe, budzące wiele nadziei i nęcące wrodzoną duchowi ludzkiemu ciekawość mirażami światów nieznanych, które spodziewano się odkryć. Nic więc dziwnego, że owe plany pochłonęły całkowicie uwagę badaczy i przesłoniły wszelkie inne aspekty rzeczywistości językowej. Problematyka historyczna wyparła wszelkie inne, a językoznawstwo historyczne utożsamiało się z językoznawstwem w ogóle. Strony opisowej zjawisk językowych nie doceniano, traktowano ją jako rzecz uboczną, jako materiał dla celów dydaktycznych i praktyczno-poprawnościowych. Rzeczywistość językowa rozpadła się na dwa nierówne działy. Jeden to zrąb trwały, stanowiący całość genetycznie spójną, zachowującą poprzez wieki jakby pamięć społeczną danego ludu — i temu przypisywano istotną wartość naukową; drugi zaś — to balast aktualności życiowych, stanowiący utrudnienie dla badacza, niejako gruz i zielsko kryjące zrąb okazałego wykopaliska.

Ale czy taki ekskluzywizm historyczny — mimo całej doniosłości objętych nim zagadnień — był słuszny? Czy aktualna rzeczywistość językowa nie ma w sobie nic, co by stanowiło samoistną wartość poznawczą? Czy ta właśnie rzeczywistość nie wiąże się w jakikolwiek sposób z odwiecznymi dążeniami umysłu ludzkiego? A jeśli tak, to czy językoznawstwo stanowi jakiś partykularz, czy też ma swoją wagę w walce ludzkości o wydarcie otaczającemu nas światu jego tajemnic, w walce, która jest w gruncie rzeczy walką o panowanie nad tym światem? Innymi słowy, co daje językoznawstwo temu, kto chce budować swój pogląd na świat, temu, czyją myśl ten świat niepokoi? Odpowiedź szczegółowa na to pytanie byłaby właściwie traktatem filozofii języka. Ale rzućmy bodaj okiem na te cele ostateczne, które przyświecać mogą pracy językoznawcy.

„Języki są zwierciadłem ducha ludzkiego” — powiedział Leibniz. I istotnie, struktura danego języka jest często tak ściśle związana z najbardziej typowymi przebiegami myślenia poszczególnych grup społecznych, iż np. modna dziś dyskusja w literaturze zagranicznej o cechach umysłu francuskiego i niemieckiego kto wie czy nie sprowadza się właściwie do różnicy narzędzi, którymi się te umysły posługują, różnicy w strukturze językowej¹⁾. Prawda, iż genetycznie te narzędzia są tworem umysłowości człowieka, ale wszędzie stwierdzamy współzależność między narzędziem

¹⁾ Pisał o tym prof. Doroszewski w artykule p. t. *Kryteria językowe narodowości* (w sprawozdaniach ze Zjazdu Komisji Badań Naukowych Ziemi Wschodnich w roku 1936).

a tworzywem. Współzależność ta przejawia się w tym, co nazywamy stylem epoki, duchem czasu, typem myślenia czy działania danego środowiska. Współtwórcą stylu gotyckiego była cegła, a fortepian jednym z ważnych elementów genialności Liszta czy Szopena. Człowiek stwarza narzędzia, ale przyzwyczajają się nimi posługiwać i przez to im ulega.

Taki sam stosunek zachodzi między myślą człowieka a językiem. Będąc w swej istocie narzędziem i szatą myśli, język staje się ujmującym ją łożyskiem, które nadaje kierunek jej biegowi i rozwojowi. A ponieważ trudno w obecnym stanie rzeczy pojąć myśl wyżej zorganizowaną bez języka, należyte zbadanie zjawisk językowych stanowi klucz do zrozumienia rzeczywistości humanistycznej w szerokim znaczeniu, obejmującej całą naturę człowieka w jej najbardziej wszechstronnej działalności. Słowem nie do pomyślenia jest dziś głębiej pojęta realizacja delfickiego hasła: „Poznaj samego siebie”, bez tego wkładu, jaki tu wnosi językoznawstwo.

Słowo bowiem jest tak zrośnięte z myślą człowieka, iż już Kartezjusz brał je za kryterium rozumu. Wpływa na to fakt, iż mówić uczymy się wraz z budzeniem się myśli. Słowo zatem poza swą naturalną funkcją komunikacyjną staje się podścieliskiem tejże myśli, ogniskiem koncentrującym i zespalającym w sobie wszelkie elementy postrzeżeniowe czy wyobrażeniowe, bodźcem wyzwalającym reakcje instynktów, punktem oparcia i wyjścia dla syntez i dla wszelkiej działalności psychicznej. Będąc pierwotnie jedynie uzewnętrznieniem myśli, znakiem, narzędziem porozumiewawczym, stopniowo ogarnia i podporządkowuje sobie całe życie wewnętrzne człowieka. I nie ma ani jednego stanu psychicznego, który odtąd nie znalazł sobie wyrazu w m o w i e w e w n ę t r z n e j, a bardzo niewiele jest takich, których bodźcem nie byłoby słowo.

Nic też dziwnego, iż pierwotnie z mową utożsamiano całą działalność myślową człowieka. Przypomnę choćby tak częste biblijne „rzekł w sercu swoim” zamiast „pomyślał”.

Gdy więc powiemy, że mowa jest tylko jednym z faktów społecznych, powiemy za mało. Prawdą jest, że mowa rodzi się w społeczeństwie i przez nie jest używana. Ale powiedzeniem tym nie obejmujemy wspomnianego zjawiska mowy wewnętrznej, z którą mamy do czynienia nawet u pustelnika, który przez pół wieku ust do nikogo nie otworzył. Dynamizm więc mowy jest w wybitnym stopniu dynamizmem jednostkowym. Dynamizmem, którym jednostka operuje, ale też mu ulega. Mamy tu przykład na tak częste w życiu psychicznym wzajemne przenikanie się i zrastanie funkcji, wskutek czego funkcja pierwotnie nadrzędna, w tym wypadku działalność myślowa, tak ściśle splata się z podrzędną, w tym wypadku z mową, iż ulega całkowicie mechanizmowi tej ostatniej, który staje się normą i typem jej działania. Język z narzędzia porozumiewawczego staje się kośćcem i rusztowaniem całej działalności myślowej. I tu widzimy, jak głęboko wdzierają się zjawiska językowe w dziedzinę życia psychicznego. Bez ich należytego zrozumienia nie ma ani psychologii ogólnej myślenia, ani jego typologii. Bo istotnie język jest indywidualnym wyrazem typu myślenia, a stąd i charakteru, ale też ze względu na to, iż otrzymujemy go

w stanie gotowym, jego tworzywem. Wypływa to stąd, iż myślenie dziecka uczącego się mówić jest jeszcze tak mało rozwinięte, iż nie jest w stanie oprzeć się naporowi nurtów płynących już utartymi drogami, jakimi krąży myśl danej grupy społecznej. Jednostka staje się jedną z fal unoszonych wyżłobionym już korytem, jedynie minimalnie wpływając — ale wszakże wpływając — na jego taki czy inny kształt i kierunek. Ta nawykowa i jakby w krew wpojona uległość słowu leży u podłoża wszelkiego rodzaju werbalizmu i demagogii.

Bezsilność wobec tego stanu rzeczy sprawia, iż jednostka do słowa odnosi się jak do żywiołu natury i stąd wypływa wiara w jego potęgę i wynikający z niej kult. Ona to przejawia się w przeświadczeniu o skuteczności zaklęć, czarów, przekleństw i błogosławieństw, w całej mitologii wynikającej z hipostazowania słowa, której dziedzictwo jeszcze dziś nas obciąża. „Dlaczego opium usypia? Bo ma własności usypiające” — odpowiada lekarz Molière'a (dzisiejsi medycy powiedzieliby może, że ma własności hipnogeniczne, co na jedno wychodzi). I to wystarcza. Zresztą jeśli wnikiemy w to głębiej, nie jest to właściwie takie naiwne. Zrozumienie bowiem dynamiki słowa dawało wielkim mówcom władzę, przed którą drżeli monarchowie. Poznanie zatem tego mechanizmu otwiera przed nami całą głębię jaźni i pozwala zrozumieć prawa, które nią rządzą.

Przejdźmy teraz do innej dziedziny zjawisk. Trzeba zdać sobie sprawę, iż dynamizm i determinizm fizyczny, biologiczny i psychologiczny nie obejmuje wszystkich sił i praw rządzących rzeczywistością. Istnieje swoisty dynamizm społeczny, na który zwracał uwagę już Bacon, analizując słynne *idola fori*. Problematykę zaś naukową tych zagadnień sformułował, a przynajmniej spopularyzował August Comte, kładąc podwaliny pod rozwój nauk socjologicznych.

Ale i w tym mało jeszcze zbadanym i znanym rodzaju zjawisk podstawowym elementem tego, co Hegel nazywa duchem obiektywnym, jest język. O tym, iż bez mowy nie ma w ogóle społeczności ludzkiej, nie warto nawet pisać; jest to rzecz aż nadto znana. Ale słowo poza swą funkcją łącznika społeczeństwa jest także jedną z jego sił istotnych. Faktów na uzasadnienie powyższego mamy dosyć. Przecież litera i w wyrazie *ἁποστόσιος* stworzyła instytucję soborów w chrześcijaństwie. Rozdział Kościoła wschodniego od zachodniego, pociągający za sobą rozdział dwóch kultur, łacińskiej i bizantyjskiej, wynikał z utożsamienia greckiego *ἐκπορεύειν* z łacińskim *procedere*²⁾, gdzie minimalna różnica w odcieniu znaczeniowym zdecydowała o ortodoksji. Zaliczyć tu też trzeba wszelkie hasła społeczne. Słowa mają wielką społeczną siłę motoryczną, zdolną poruszać nieświadomymi rzeczy masami, która to motoryczność bywa nawet bardzo często nadużywana. Takich słów motorów jest bardzo wiele. I gdybyśmy poddali analizie nasze najbardziej nawet elementarne zasady, którymi się w życiu kierujemy, wykrylibyśmy, iż bardzo często są one

²⁾ Chodzi o znany spór w w. X o pochodzenie Ducha św. od Ojca i Syna, czy też tylko od Ojca. Otóż *procedere*—pochodzić, w literaturze patrystycznej miało znaczenie bardziej ogólne, zaś *ἐκπορεύειν* — również pochodzić — ma znaczenie teologiczne bardziej specjalne.

tylko gołosłownymi powiedzeniami. Wystarczy przypomnieć hasło równości. A ileż to przysłów — „mądrość narodu” — ma za podłoże taki czy inny układ równowagi dźwiękowej i nic więcej poza tym.

I znów mamy przykład usamodzielnienia się narzędzia i podporządkowania sobie natury funkcji nim się posługującej. Słowo, podobnie jak w mowie wewnętrznej, staje się znów ogniskiem, wyrażającym i koncentrującym w sobie tendencje społeczne, a stąd motorem i łożyskiem spraw ludzkich.

Paradoksalnym tego przykładem są dzieje wyrazu *g r a m a t y k a*. W szkole oznaczono tym mianem zbiór pewnych reguł i wzorów, układanych dla celów poprawnościowych. A ponieważ z rzeczywistością językową w jej szacie teoretycznej uczeń się stykał w wieku dziecięcym, przeważnie do lat 15, kiedy to w stosunku do przedmiotów nauczania decydują nie względy intelektualne, lecz uczuciowe (emocjonalne), całkiem zrozumiałą jest rzeczą, iż odniósł on wrażenie zmudnej dłubaniny, czegoś w rodzaju uwag bony o siedzeniu przy stole. Tę postawę emocjonalną pogłębiało uczenie się języków obcych, trudności z tym związane, a także niekiedy takie czy inne stosowanie domowych sankcji pedagogicznych. Utworzony w ten sposób zespół wspomnień, uczuć i wrażeń, podciągnięty pod miano gramatyki, jest tak silny, iż trzeba nie lada wysiłku, by ten — iż się tak wyrażę — uraz psychiczny zaleczyć. Słowo, w zależności od okoliczności, w jakich było stosowane, zemściło się na samej rzeczy nim oznaczonej. Bo tym skojarzeniom „zawdzięczać” trzeba stosunkowo małą popularność zagadnień językowych wśród szerszych mas. A no, czym kto wojuje, od tego ginie.

I takich przykładów można by mnożyć bez końca. Ale i te wystarczą do wykazania, że słowo z narzędzia stało się żywiołem, podobnie jak np. pieniądz, oparty w gruncie rzeczy na fikcji społecznej. Z żywiołem tym każdy musi się liczyć, a zbadanie jego dynamiki wewnętrznej, pomijając już perspektywy, jakie otwiera na inne działy przeczystości, jest *k o n i e c z n o ś c i ą b i o l o g i c z n ą* społeczności ludzkiej. Bo nawet połowa tak „biologicznej” techniki nowoczesnej to służba słowu. I tak jak człowiek opanował ogień, wodę czy powietrze przez poznanie ich natury i wynikającą z niego umiejętność wykorzystania i eliminowania ich wpływów zależnie od swoich potrzeb, tak samo musi opanować słowo, bo tego wymaga życie. „Fizyka” więc i „metafizyka” słowa równie są uprawnione, jak „fizyka” i „metafizyka” życia.

Wobec tego łatwo sobie zdać sprawę, że kult słowa u pierwotnych, wiara w jego moc magiczną, którą są przepelnione baśnie całego świata, słowem jego teologia, nie są czymś znów tak bardzo naiwnym. Są to instynktowne odczucia i interpretacje cechującego słowo charakteru żywiołowego. I nie wytłumaczymy wszystkiego, gdy ten charakter słowa odniesiemy jedynie do działania jednostki, tak jak niewiele wiemy o wietrze, gdy powiemy, że jest to tylko ruch cząstek powietrza. Mało powiedzieć, że język jest wynikiem ludzkiej zdolności myślenia i społecznej potrzeby wymiany myśli. Ważnym jest także, nawet z czysto życiowych względów, jaki przebieg ma strona zjawiskowa języka i jakimi prawami on się rządzi. Mowa oczywiście o prawach nie w znaczeniu fizycznym, czy nawet biologicznym, ale o wszelkich przeja-

wach ładu, jakie się dają zauważyć w zjawiskach społecznych. Chodzi zatem o mechanizm wewnętrzny stawania się języka i jego działania. I to są zagadnienia istotne, których nie rozwiąże ani historia, ani psychologia, ani socjologia, lecz musi istnieć odrębna gałąź wiedzy, rozporządzająca metodami przystosowanymi do charakteru opracowywanych zjawisk, sięgająca z jednej strony daleko w przeszłość ze względu na ich moment historyczny, z drugiej zaś strony głęboko w strukturę psychologiczną i socjologiczną rzeczywistości, korzystająca z dorobku innych nauk i konieczna dla ich dalszego rozwoju, nauka o języku. Obejmuje ona dział rzeczywistości, którego poznanie jest niezbędne zarówno dla poznania układu dynamicznego sił, jakim człowiek ulega i jakimi rozporządza, jako też dla umiejętności posługiwania się nimi lub też niwelowania ich niepożądanych wpływów na tok życia ludzkiego.

Jan Tokarski

JĘZYKOZNAWSTWO A RADIOFONIA

To, że językoznawca w niczym nie uchybia swojej godności zawodowej ani nie popełnia nic sprzecznego z teoretyczną postawą wobec tzw. faktów językowych, jeżeli się interesuje praktycznym życiem języka i jeżeli wypowiada o tym życiu sądy nie tylko stwierdzające, ale i wartościujące, należy do prawd ustalających się szczęśliwie coraz bardziej jako bezsporne. Dzieje się tak nie tylko u nas, ale i w innych krajach; w niektórych spośród nich tendencje praktyczne w językoznawstwie występują nawet dawniej niż u nas i mocniej. W Anglii na przykład fonetyka ma orientację wybitnie praktyczną, o czym w znacznym stopniu rozstrzyga postawa czołowego fonetyka angielskiego, prof. Jonesa.

W lipcu roku bieżącego odbył się w Gandawie (w Belgii) III Kongres międzynarodowy poświęcony naukom fonetycznym, a więc Kongres o charakterze ściśle naukowym i specjalnym. Na ostatnim plenarnym posiedzeniu tego kongresu, w którym uczestniczyło 289 członków reprezentujących 38 narodów europejskich i pozaeuropejskich, powzięta została jednogłośnie następująca uchwała (tłumacząc dosłownie jej tekst z francuskiego): Zjazd stwierdza, „1) że radiofonia nasuwa językoznawcom zagadnienia natury praktycznej, takie na przykład jak sprawa wymowy nazw obcych, nauka języków obcych, kwestia poprawnej wymowy (ortoepii) i dykcji; 2) że w wielu krajach przemówienia i odczyty radiowe dotyczące spraw językowych pozostawiają do życzenia pod względem teoretycznym i że sam język audycji radiowych budzi często zastrzeżenia zarówno co do swego poziomu jak i stylu.

Wobec tego Zjazd zaleca współpracę ośrodków językoznawczych różnych krajów z odpowiednimi ośrodkami radiofonicznymi w tym celu, ażeby konieczna kontrola językowa i ortoepiczna powierzona została kompetentnym instancjom”.

Można stwierdzić, że nasze Radio już kilka lat temu przez inicjatywę wprowadzenia do programów radiowych tak zwanej wówczas Skrzynki Językowej, którą w ciągu paru pierwszych lat prowadził prof. Słoński, weszło właściwie na drogę

zalecaną w przytoczonej uchwale zjazdu fonetyków. Uchwała ta świadczy wymownie o tym, jak naturalną rzeczą jest czynny udział językoznawców-teoretyków w praktycznym życiu języka.

Dla dokładności informacyjnej i uniknięcia zarzutu perfidii w taktyce muszę wyznać, że autorem uchwały jest niżej podpisany. Nie zmienia to jednak rzeczy zasadniczej, tego mianowicie, że w atmosferze zjazdu treść uchwały łatwo uzyskała powszechną zgodę, której wyrazem była jednomyślność w głosowaniu. Zresztą zainteresowanie zjazdu sprawami praktyczno-językowymi objawiło się i w tym także, że jedno z posiedzeń plenarnych, z kilkoma referatami w programie, było w całości poświęcone sprawom radiofonii.

Witold Doroszewski

UWAGI O WYRAŻENIACH NAŚLADOWANYCH

Kiedy jest mowa o obronie języka przed zbędnymi wpływami obcymi, najczęściej nasuwają się poszczególne wyrazy, zwłaszcza rzeczowniki i czasowniki, bo to najuchwytniejsze. Ale nie mniejszą szkodę wyrządzają językowi wpływy obce w postaci używania wyrazów, czy to rdzennie polskich, czy przyswojonych, w innym znaczeniu niż zwyczajem przyjęto, w niewłaściwej składni, lub choćby nawet w formie poprawnej, ale w ogólnym języku nieużywanej. Takie wpływy są tym szkodliwsze, że na oko nie bardzo widoczne, łatwo się wślizgują do języka i odbierają mu jego rodzime cechy, a narzucają obce.

Jednym z przykładów jest nieraz już poruszany czasownik *śmieć* w znaczeniu *m ó c, m i e ć p o z w o l e n i e*, zamiast właściwego znaczenia *o ś m i e l i ć s i ę, m i e ć o d w a g ę*. Używa się go w niewłaściwym znaczeniu tylko w Polsce południowej i zachodniej, jako pozostałości wpływów niemieckich po zaborach austriackim i pruskim.

W całej Polsce szerzy się dziś pod wpływem niemieckim zwyczaj niewłaściwego używania czasownika *ustalić*. *Ustalić* znaczy zrobić coś stałym. Dlatego wiadomość, że „nazwisko sprawcy z trudem ustalono”, nasuwa przypuszczenie, że sprawca się wahał w wyborze nazwiska, a dopiero ktoś mu je wybrał do stałego użytku. A tak nie było. Chodziło po prostu o stwierdzenie, jakie jest nazwisko sprawcy.

Wielu Polaków używa wyrazu *karta* w znaczeniu *m a p y*. Obydwa wyrazy są zarówno pochodzenia łacińskiego, ale skorośmy już przyjęli *mapę* (zresztą nie my jedni), nie ma najmniejszej potrzeby usuwania jej na rzecz *karty*, która i tak ma już sporo różnych znaczeń.

Kto to robi, działa pod wpływem nieświadomego dążenia do upodobnienia języka polskiego do innych. Ale szanujący się język takim pokusom się nie poddaje. W angielskim również mapa nazywa się *map*, a nikt jej nie zmienia na *card*, choć i taki wyraz tam istnieje. Tak samo nie przeszkadza Anglikom używanie wyrazu *library* w znaczeniu „biblioteki”, choć we wszystkich innych językach, w któ-

rych ten wyraz istnieje, oznacza on księgarnię. Tak „umiędzynarodowiony” wyraz jak *biblioteca* w angielskim nie jest używany.

Z tego samego powodu nie ma podstawy szerzona dzisiaj *Adria*, skoro już mamy Adriatyk. Tym bardziej że *Adria* jest nazwą włoską, a przecież morze to nie jest włoskie, bo mieszkają nad nim także inne narody prócz Włochów.

Jeszcze bardziej nieuzasadniona (poza wyjątkowymi wypadkami oczywiście) jest rozpowszechniana dziś dla mody *Italia* i pochodne, o czym już zresztą pisano w Poradniku.

Coraz częściej się spotyka, zwłaszcza w prasie codziennej, wyraz *sugestia*, pod wpływem francuskim i angielskim w znaczeniu propozycji, podczas gdy w języku polskim ma on tylko znaczenie „wpływanina na kogoś”.

Tak samo niepotrzebnie nazywa się posła zagranicznego ministrem, pod wpływem takiego właśnie zwyczaju w języku francuskim.

Od niedawna zaczęto używać wyrazu *basen* w znaczeniu zagłębia [basen Saary] lub dorzecza [basen Dunaju], zupełnie niewłaściwie, bo *basen* u nas nie ma tych znaczeń, choć je ma w języku francuskim, z którego do nas przyszedł. Ponadto jest to ubożenie języka, bo skoro mamy trzy wyrazy na trzy różne pojęcia, z tego dwa polskie a jeden obcy, to po cóż obydwie polskie usuwać, posługując się we wszystkich trzech wypadkach jednym, znacznie już mniej dokładnym wyrazem *basen*?

Podobnie ma się rzecz z *armią*, której często się używa, gdy mamy na myśli wojsko, zupełnie niepotrzebnie i ze szkodą dla ścisłości, bo wojsko—to cała siła zbrojna, a armia — to tylko jej część. Wprawdzie w języku francuskim obydwie pojęcia wyraża się jednym wyrazem *armée*, wobec czego z konieczności się mówi „l'armée se compose de plusieurs armées”, ale że taka niedogodność jest w języku obcym, to nie podstawa do wprowadzania jej u nas.

Inna rzecz, że wyrazy obce bardzo często przybierają na nowym gruncie inne znaczenie, niż miały u siebie. To jest nieuniknione, ale chodzi o pewien umiar i krytycyzm.

Wyrazy obce przyjęte od dawna i mające w naszym języku prawa obywatelstwa powinniśmy traktować na równi z rodzimymi i nie zmieniać ich dowolnie, na podstawie wątpliwych wniosków czy przez nieświadomość. Tak na przykład pod wpływem niemieckiej *Aktiengesellschaft* ustaliło się we wszystkich językach słowiańskich określenie *towarzystwo akcyjne*, podczas gdy w innych językach nazywa się inaczej. W językach romańskich nazywa się bezimiennym (*société anonyme*), a tylko w portugalskim nazywa się *limitada* na wzór anglosaskiej *Limited*. Tłumaczenie więc francuskiego wyrażenia *société anonyme* na towarzystwo *bezimienne* lub *anonimowe* jest albo błędem z nieświadomości, albo świadomym obalaniem ustalonego zwyczaju językowego.

Tak samo bezcelowe i szkodliwe jest używane czasem określenie *artykuł czołowy* lub *wprowadzający* zamiast już u nas ustalonego *artykułu wstępnego*.

Nic też dziwnego, że przed kilkoma miesiącami figurowała aż w dwu dziennikach stołecznych *arka triumfalna*, mająca oznaczać łuk triumfalny.

Ofiarą takiego poprawiania czy uzupełniania języka padają też często wyrażenia i zwroty czysto polskie.

Rozpowszechniają się dzisiaj żywcem z języków obcych przekładane zwroty *wiadome jest, widoczne jest, jasne jest, dziwne jest*, często też z przymiotnikiem niepotrzebne w narzędniku (*wiadomym jest*) zamiast szeczeropolskich *wiadomo, widocznie, oczywiście, rozumie się, dziwić się należy*.

Bardzo się już rozpowszechniło wyrażenie *możliwie najprędzej, możliwie największy* itp. Nie można powiedzieć, że to są zwroty błędne, ale jako wzorowane na obcych zabierają coraz bardziej miejsce rodzimym *jak najprędzej, jak największy*, a często też powodują niezgrabne kontaminacje *możliwie jak najprędzej*. Tak jak w języku francuskim wyrażeniem rodzimym jest *au plus tôt*, a bardziej wymyślnym *le plus tôt possible*, w angielskim *as soon as possible*, w niemieckim *so schnell wie möglich*, a bardziej wyszukany *möglichst schnell*, w holenderskim *zoo spoedig mogelijk*, w szwedzkim *sa snart som möjligt*, we włoskim *quanto prima*, a sztuczniejszym *il piu presto possibile*, w rumuńskim *cât mai iute*, w czeskim *co nejrychleji*, w serbochorwackim *szto brže*, tak w polskim *jak najprędzej*. Na uwagę zasługuje tutaj odrębność tego wyrażenia w każdym z przytoczonych języków w formie rodzimej, a szablonowość zwrotu bardziej wyszukanego.

A zdarza się u nas także zwrot *zawsze więcej* [zamiast coraz więcej], już żywcem przełożony z niemieckiego *immer mehr*.
Józef Rossowski

Z ŻYCIA WYRAZÓW I RZECZY

Gwara a zadania szkoły powszechnej

Żyjemy w czasach, kiedy kultura polska wciąga coraz bardziej do swych różnorodnych warsztatów cały naród polski. W pracy powszechnej jako równorzędny partner bierze owocny udział środowisko wiejskie, przez długie czasy tylko bierny uczestnik tego, co się u nas na polu kulturalnym działo. Dziś wieś ma własne problemy i cele, staje się świadomym współtwórcą nowych wartości kulturalnych i gospodarczych, jest w stadium organizowania swego życia na nowych racjonalnych podstawach.

Zdrowe hasła regionalizmu propagującego aktywny stosunek wobec zjawisk zachodzących w najbliższym otoczeniu, a przede wszystkim wszechstronne poznanie ziemi i człowieka, znajdują coraz pełniejszą realizację. Ma to odbicie, jak wiadomo, także w dziedzinie oświaty. Nauka szkolna bierze za punkt wyjścia środowisko, z którym jest związana osobowość ucznia, oczywiście niezależnie od tego, czy będzie nim środowisko miejskie czy wiejskie. Występuje to wyraźnie w charakterystycznych tytułach cyklów, jakie znajdujemy w podręcznikach języka polskiego dla niższych klas szkół powszechnych. W czytance na klasę II szkół wiejskich S. Tynca, J. Gołąbka i J. Duszyńskiej¹⁾ lektura zaczyna się od tego, co dziecku jest najbliż-

¹⁾ St. Tync, J. Gołąbek i J. Duszyńska, *Nasza wieś*. Czytanka polska dla II klasy szkół powszechnych wiejskich, wydanie drugie. Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa 1937.

sze, a więc zapoznaje się ono najpierw z tym, jak jest „W domu”; w piątym dopiero urywku znalazło się „Powitanie szkoły”, a w dziewiątym zawierają ze sobą bliższą znajomość „Dzieci i las”. To jest w cyklu pierwszym. Następnie opowiadają dzieciom o tym, jak wygląda ich wioska, prace na podwórzu, polu i łące, a dopiero jeden z ostatnich cykli (IX) przenosi je „do miasteczka”. W czytance tychże autorów na klasę III — stopniowo rozszerza się pole widzenia. Wychodząc znowu od tego, „Co się dzieje we wsi” (cykl III), uczeń zbliża się stopniowo do spraw, którymi żyje „Nasza gmina” (cykl V), poznaje coś niecoś z tego, co się dzieje „W powiecie” (cykl VII). Wiązanie nauki szkolnej z możliwie wszechstronnym poznawaniem środowiska regionalnego, budzenie uczuć żywego przywiązania i miłości w stosunku do najbliższej „ojczyzny” ucznia, wypływa nie tylko z pobudek dydaktycznych, ale i z konieczności wychowania obywatela, którego przyszła dojrzała już praca kierować się będzie przede wszystkim ku potrzebom własnego środowiska i własnej ziemi. Dlatego też uczeń już w szkole powszechnej powinien mieć możliwość poznania tych potrzeb, a także znaleźć pobudki, które by go w przyszłości skierowały ku pewnym problemom i pozwoliły zająć czynną wobec nich postawę.

Czynnikiem przenikającym w sposób może najpełniejszy życie danego regionu jest język. Tak jak w ukształtowaniu powierzchni i w przyrodzie odzwierciedla się fizyczne tło krajobrazu, tak w języku znajduje wyraziste odbicie sam człowiek, jego dzieje, kultura i sprawy codzienne. W regionalnych odrębnościach języka polskiego, składających się na poszczególne gwary, które z kolei tworzą większe terytoria dialektyczne, przechowały się jeszcze dość dobrze dawne granice plemienne, jakie rekonstruuje historia.

Odrębności te dotyczą zarówno strony formalno-strukturalnej języka: wymiarianowej (artykulacyjnej) i morfologicznej (tj. słowotwórczej i fleksyjnej), jako też tzw. „materialnej”, dotyczącej samych wyrazów. W gruncie rzeczy wszystko sprowadza się tu do różnic w formalnych użyciach wyrazów oraz w zmiennym stosunku wyrazów do rzeczy. Na tym polega właściwie historia języka. Doniosłość badań nad słownictwem ludowym była już wielokrotnie wykazywana w *Poradniku Językowym*. Ogłaszaliśmy też rozmaite materiały, bliżej związane z terenem Mazowsza. Będziemy to czynić w dalszym ciągu.

Na tym miejscu pragniemy omówić korzyści, jakie płyną z kontaktu ze słownictwem gwarowym już nie dla językoznawstwa, nie dla nauki, ale dla potrzeb praktyczno-życiowych, mianowicie szkolnych.

Dziecko wiejskie przychodzi do szkoły znając zazwyczaj wyłącznie gwarę swojej wsi, którą się przez czas dłuższy posługuje jako jedynym narzędziem własnych wypowiedzi. Jednym z zadań szkoły jest „stopniowe przyzwyczajenie dzieci do posługiwania się wyrazami i zwrotami z języka warstw wykształconych”²⁾, przy czym w klasie I to przyzwyczajenie ma być ze zrozumiałych względów „bardzo powolne”.

²⁾ Patrz *Program nauki w publicznych szkołach powszechnych pierwszego stopnia z polskim językiem nauczania*. Lwów 1936, str. 41.

Ten proces stopniowego usuwania gwary jest obliczony zasadniczo na pierwsze trzy lata nauki, chociaż oczywiście rzecz będzie zależała zawsze od warunków miejscowych: na Kurpiach, a tym bardziej na Kaszubach, trzeba na to z pewnością więcej czasu i wysiłku, tak samo np. na obszarach, gdzie dzieci wynoszą z domu gwara o podłożu ruskim.

Dopiero w klasie IV (szkół pierwszego stopnia, które tu mamy głównie na względzie, jako że jest ich najwięcej) przestaje się mówić o „przyzwyczajaniu” do języka warstw wykształconych, natomiast zaleca się trochę teorii: „okolicznościowe przystępne rozróżnianie mowy warstw wykształconych i gwar ludowych na tle urywków, pisanych gwarą” (ap. cit. str. 126). Że program nakazuje przy tym poważny i pełen poszanowania stosunek do gwary jako do jednej „z odmian języka polskiego, której nie należy się wstydić, ani też tępić”, to rzecz zrozumiała. Jednak nie trudno zauważyć, że w tego rodzaju sytuacji jest pewna, nieunikniona zresztą, antynomia: szkoła zaleca poszanowanie, a nawet przywiązanie do gwary rodzinnej dziecka, wpajanie, że nie jest ona „językiem zepsutym”, to prawda, ale przecież wiadomo, że ta szkoła jest zarazem najbardziej skutecznym tej gwary tępicielem. Dziecko z chwilą pełnego przyswojenia sobie (z oczywistą korzyścią) mowy „wykształconej” przeważnie gwara ze swego zasobu językowego eliminuje, posługując się nią co najwyżej w ścisłym kole rodzinnym. Jeśli z czasem opuści swoje strony i uda się do miasta, tym bardziej będzie tę gwara chować w najgłębsze zakamarki świadomości, ulegając z jednej strony urbanizatorskiemu snobizmowi, a z drugiej — kompleksowi swojej wiejskiej „niższości”. Z pewnością wiele się tu ostatnio zmienia na lepsze, ale tak przeważnie jeszcze bywa.

Najlepszym — naszym zdaniem — sposobem przeciwdziałania temu stanowi rzeczy jest praca nad kształtowaniem czynnej postawy ucznia wobec zjawisk własnej mowy, co zresztą pozostaje w zupełnej harmonii z założeniami wychowawczymi współczesnej szkoły. Tylko tą drogą uda się może opanować raptowny proces zanikania gwar, będących bądź co bądź jednym z ważnych elementów kultury regionalnej; wszakże podnoszenie tej kultury na szczebel ogólnonarodowy nie wymaga wyrzeczenia się cech lokalnych, a raczej przeciwnie, powinno te cechy wzmocnić i usamodzielnąć. Tak jak dojście do głosu w całym społeczeństwie sztuki ludowej, np. budownictwa zakopiańskiego, wcale nie oznacza zatracenia przez nie cech indywidualnych, lecz przeciwnie, ich ekspansję, tak też, „ujęzykowanie się” na szczeblu tzw. mowy warstw wykształconych młodych przedstawicieli gwar polskich, młodych Kurpiów, Książaków czy Ślązaków, nie powinno być równoznaczne z ich kulturalnym i społecznym niwelowaniem, bo przecież możliwe jest zdobywanie jednego i zachowanie, a nawet otoczenie należytyym kultem tego, co się zdobyło i z czym się wzrosło jak z „chlebem macierzystym” kraju „lat dziecinnych”. Takie wypadki nie tylko że są możliwe, ale się zdarzały i zdarzają. Są wykształceni górale, którzy nie zarzucili swojej gwary, są np. w Warszawie na uniwersytecie studenci posługujący się w swoim środowisku gwarą, a co ważniejsze, ludzie ci należą zarazem do czynnych działaczy w tym środowisku. A z drugiej strony należy dodać, że powierzchowna urbanizacja przy-

nosi z sobą poważne niebezpieczeństwo, przez to że sprowadza się do przejmowania cech drugorzędnych, bardzo często ujemnych, co idzie zazwyczaj w parze z kulturalnym „wyjałowieniem” przez zerwanie wszelkich nici wiążących jednostkę ze środowiskiem i jest objawem społecznie szkodliwym.

Nie wystarczy pouczać, że mowa własnego środowiska nie jest czymś gorszym od tej, jaką się posługuje człowiek dużych środowisk miejskich, czyli tzw. inteligent, bo ten inteligent miejski przestaje już być zresztą ideałem, ku któremu dźwiga się dzisiejszy człowiek wsi, mający swoje sprawy i uświadamiający sobie ich wagę, bo dziś powstają i na wsi ośrodki skupiające dokoła siebie narastającą stopniowo rodzimą inteligencję wiejską. Trzeba budzić zrozumienie, że język tak samo jak sztuka ludowa, odrębny obyczaj i tradycje regionalne, a nawet w skali znacznie od nich szerszej, jest wyrazem najistotniejszym wszystkiego, co w kulturze danego środowiska ma wartość oryginalną i nieprzemijającą.

A trzeba stwierdzić, że najlepszym sposobem, aby język ludowy, tak jak zresztą każdą rzecz na każdym miejscu i w każdym czasie, uchronić od niebezpieczeństwa zlekceważenia, niepamięci czy obojętności, jest dążenie do zrozumienia jego spraw i szerzenie tego zrozumienia w masach. Nie ma się co dziwić brakowi — jak dotychczas — tego zrozumienia w środowiskach ludowych, skoro go brak w ośrodkach wielkomiejskich o starszej kulturze, mających już za sobą pewną tradycję pracy nad językiem oraz odpowiednią literaturę naukową i popularną.

Ogólnikowe frazesy, nie poparte żadnym czynem zachwyty nad „skarbnymi mowy ludowej”, nad ich ożywiającym czy odmładzającym oddziaływaniem na język ogólnopolski, jak i odwrotnie — załamywanie rąk na widok dekompozycji, jaka język ludowy w dobie dzisiejszej coraz bardziej ogarnia na wszystkich jego odcinkach, nie wystarczą.

Trzeba rozpocząć pracę „od wewnątrz”. Trzeba, żeby sprawy mowy ludowej, stanowiącej tak wiele o odrębnym obliczu kultury regionalnej, były wzięte w obronę i dyskutowane w kołach młodzieży wiejskiej, w organizacjach kulturalno-oświatowych, żeby nad ich całokształtem czuwała naczelna organizacja ludowa, Państwowy Instytut Kultury Wsi.

Jednym z ważniejszych działów nauki o języku w szkole powszechnej są, jak wiadomo, ćwiczenia słownikowe, które tak jak całokształt pracy ucznia mają za punkt wyjścia najbliższe otoczenie.

Program w dążeniu do wzbogacenia czynnego słownika dzieci poleca dajmy na to w klasie czwartej „zestawianie grup wyrazów, np. nazwy narzędzi rzemieślników, nazwy narzędzi pracy rolnika, nazwy pokrewieństwa itp.”

Możliwości rozszerzania tych ram są duże. Łatwo w nich pomieścić takie działy, jak dom i rodzina, kultura materialna, zajęcia w polu, przyroda. Trzeba tylko zachęcić dzieci do samodzielnego gromadzenia słownictwa w tych zakresach, dzieląc pracę na drobne partie i pozostawiając możliwość wyboru stosownie do zainteresowań, a zobaczymy, że taka zespołowa i samodzielna praca wywoła duże ożywienie, którego część udzieli się także nauce w klasie. Dzieci zbliżą się zarazem do życia, poznają bliżej

świat r z e c z y, niektóre z tych rzeczy będą mogły przy tym rysować, jak np. cepy i miejscowy sposób ich wiązania, krosna, kołowrotek, rozmaite narzędzia gospodarskie i naczynia kuchenne. Każdy rysunek byłby zaopatrzony spisem nazw części danego przedmiotu i wszedłby w skład zbiorów regionalnych gromadzonych przez każdą klasę.

Na lekcjach taki materiał dałby się z pożytkiem omawiać — wskazano by w wielu wypadkach na różnice między nazwą miejscową a książkową, co byłoby dobrą okazją do wyjaśnień, skąd się te różnice biorą i jeszcze częściej okazałoby się, że nazwa oficjalna, zapisana np. w jakimś katalogu miejskiego składu narzędzi, jest właśnie miejscową nazwą ludową; wyszłaby na jaw wielość różnych wyrazów na oznaczenie jednej rzeczy, a co zatem idzie całe bogactwo gwarowe.

Raz powzięty impuls do tych spraw pozwoliłby dzieciom stwierdzić, że w ich otoczeniu inaczej nazywa się nie tylko przedmioty, ale także c z y n n o ś c i związane z różnymi zajęciami (np. *kościć* czy *siec, ciąć*), że poza tym same formy wyrazów są inne. Tylko bowiem na drodze c z y n n e g o zainteresowania się językiem ze strony ucznia można „pogłębić stosunek do własnej gwary”, o czym pisze program.

A kiedy w dalszych już latach nauki nauczyciel będzie miał przeprowadzać syntezę wiadomości o gwarach i ich stosunku do języka literackiego, zadanie będzie miało znacznie ułatwione, ponieważ samodzielny wysiłek, jaki uczniowie wniosą do poznania własnego środowiska, przyniesie na pewno owoce nie mówiąc już o tym, że będzie trwałym wzmocnieniem więzi między uczniem a tym środowiskiem.

Henryk Friedrich

R O Z T R Z A S A N I A

POLACY, POLONIA, POLACTWO

Latem bieżącego roku zasłużony Światowy Związek Polaków z Zagranicy rozesłał do różnych instytucji i osób ankietę w sprawie, którą ujmował w ten sposób: „Światowy Związek Polaków z Zagranicy, jako instytucja reprezentująca wszystkich Polaków mieszkających poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej, stanął wobec potrzeby ustalenia nazwy dla tej części Narodu. W zasadzie do niedawna jedyną nazwą było „Polonia Zagraniczna”, jednak w ostatnim czasie Związek Polaków w Niemczech wysuwa nazwę „Polactwo” jako słowo rdzennie polskie, wzięte z ludowej gwary śląskiej, a które winno jego zdaniem zastąpić obce określenie, jakim jest Polonia Zagraniczna”.

Rozważmy sprawę proponowanego wyrazu *Polactwo* z tych wszystkich stron, które mogą stanowić o jej aktualności i ważności.

Jaka właściwie przyczyna wywołuje potrzebę utworzenia specjalnej nazwy dla tej części narodu polskiego, która mieszka poza granicami naszego państwa? Wewnątrz państwa odróżniamy Mazurów, Wielkopolan, Małopolan, choć historyczne znaczenia tych nazw uległy dość znacznemu zamąceniu, bo na przykład w Słowniku War-

szawskim *Mazur* określony jest jako „przybysz z Mazowsza albo Małopolski, człowiek mówiący po polsku, nie Rusin” — czyli podane jest takie objaśnienie, w którym nie ma wzmianki o podstawowym znaczeniu wyrazu *mazur*, mianowicie »mieszkaniec Mazowsza stale tam osiadły« (nie tylko przybyły stamtąd).

W każdym razie nazwy tego typu, a więc *mazur*, *księżak* (mieszkaniec księstwa Łowickiego), *ślązak*, *podlasiak* są to nazwy z dzisiejszego stanowiska regionalne, mające uzasadnienie w tradycji historycznej. Wszystkie one mają charakter niejako przednarodowy, w stosunku do wszystkich terminem nadrzędnym jest termin *Polak* i kierunek historycznego rozwoju zmierza ku temu, aby treść wyrazu *Polak* miała coraz większą wagę, aby ciężar gatunkowy tego, co jest nam wspólne, był coraz większy w porównaniu z ciężarkami tych pierwiastków, które różnicują i dzielą. Oczywiście każda rzecz wyrosła z gruntu Mazowsza, czy Małopolski, czy Podlasia, czy innej dzielnicy ma swoją wartość, i różnorodność rdzennych regionalnych motywów może tylko wzbogacać treść wspólnoty: nikt rozsądny — i dodajmy: wraz liwy na piękno konkretnych kształtów życia — nie może myśleć o jakimś niwelującym wszystko strychulcu. Ale chodzi o to, że odmiany (warianty) pojęcia *Polak* usprawiedliwione są tylko wówczas, gdy wytworzyła je historia i gdy w swej różnorodności harmonizują z treścią zasadniczą tego wyrazu, gdy znajdują w niej dopełnienie i rozwiązanie.

Tak się też dzieje na obszarze Polski.

Jeżeli potrzeba utworzenia jakiejś odmiany nazwy *Polak* ujawnia się gdzieś poza granicami Polski, na gruncie obcym, to jest rzeczą oczywistą, że ta potrzeba jest wyrazem działania takich sił, które nie działają w Polsce, a więc sił obcych. Przez siły obce rozumiem tu nie jakąś celową akcję czynników postronnych, tylko po prostu obcy z naszego stanowiska układ stosunków, w każdym miejscu kuli ziemskiej z natury rzeczy inny, ale wszędzie poza Polską daleki od rzeczy rdzennie polskich.

Nie znam stosunków panujących wśród mniejszości polskiej w państwie niemieckim, miałem natomiast sposobność przyrzeć się życiu naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Otóż tam nazwą coraz częściej używaną w charakterze określenia miejscowej, amerykańskiej odmiany Polaka jest nazwa „obywatel polskiego pochodzenia”. W czasie akcji wyborczej ci, którzy liczyli na głosy polskie i odwoływali się do środowisk polskich, wysuwali jako swój atut agitacyjny to, że są kandydatami „polskiego pochodzenia” i takie właśnie stwierdzenie uważali za manifestację swojej polskości. Polskość tak pojmowana ma właściwie charakter tylko retrospektywny. O ile *ślązak* lub *Mazur* to są nazwy jak wspomniałem w pewnym znaczeniu „przednarodowe”, o tyle „obywatel polskiego pochodzenia” to nazwa „ponarodowa”, nazwa-wspomnienie. Tę nazwę na powierzchnię życia wyniósł i na tej powierzchni utrzymuje nurt sił historycznych (co nie znaczy: fatalnych i niezależnych od ludzkiej woli), który płynie kierując się nie ku ogólnopolskiej wspólnotcie, ale o d tej wspólnoty. Nie mamy powodu unikać jasnego spojrzenia na

sprawę: na gruncie obcym powstają takie tylko odmiany polskości, które są jej wyrazem osłabionym.

Jaką ma treść i jaką funkcję życiową spełnia nazwa „Polonia Zagraniczna”? Przeciw tej nazwie wysuwa się to, że jest ona obca, ale w tym wypadku mamy do czynienia z obcością trochę szczególną, bo łacińską, a więc w naszej tradycji uzasadnioną i nawet szacowną. *Polonia Restituta*, *Virtuti Militari* składają się z samych wyrazów obcych, ale ponieważ są to wyrazy łacińskie, więc właśnie dobrze się nadają do poważnego, nieco hieratycznego stylu.

W ankiecie Światowego Związku Polaków wyrażony jest dezyderat, żeby nazwa, którą by się przyjęło jako określenie Polaków zagranicznych, miała „brzmienie mocne i sygestywne”. Temu warunkowi zapewne wyraz *Polonia* nie całkowicie odpowiada, bo hieratyczność a sugestywność to są bardzo często rzeczy różne, ale w znaczeniu wyrazu *Polonia* zastosowanego do Polaków zagranicznych są inne momenty stanowiące o jego wartości.

Że *Polonia* to niezupełnie to samo, co „Polacy zagraniczni”, to każdy wyczuwa: *Polonia* to są Polacy w jakimś obcym kraju lub mieście jako stanowiący pewną, mniej więcej zorganizowaną pod względem kulturalnym i społecznym całość. Można powiedzieć o którymś z poszczególnych Polaków zagranicznych, że do miejscowej Polonii nie należy, a wtedy znaczy to, że nie bierze on udziału w życiu Polaków jako zorganizowanej grupy. Tak też tłumaczy wyraz *Polonia* Słownik Warszawski: „zbiorowo Polacy na obczyźnie, kółko, towarzystwo polskie poza granicami Polski; kolonia polska”. W pewnym stopniu i zakresie pojęcie *Polonii* na obczyźnie to surogat pojęcia polskiego państwa, to nazwa nacechowana pewnym tzw. prestiżem. Usuwanie terminu *Polonia* nie byłoby akcją ani umotywowaną, ani celową.

A jakąż jest historia powstania, treść znaczeniowa, a zatem i możliwa życiowa funkcja proponowanego przez Polaków zamieszkałych w Niemczech terminu *Polactwo*? Niezależnie od dalszych wywodów można stwierdzić od razu na wstępie rzecz niewątpliwą: ogromna większość Polaków odczuwa ten wyraz jako nieprzyjemnie rażący. Odczucie to znajduje uzasadnienie w faktach językowych, których szczegółowiej rozważać tu nie będę po pierwsze dlatego, że rzecz i tak jest jaskrawa, po drugie, dlatego że tej właśnie kwestii poświęcił ostatnio artykuł w *Języku Polskim* (nr 5 b. r., t. XXIII, s. 140—147) prof. Uniwersytetu Poznańskiego dr Henryk Ułaszyn.

Prof. Ułaszyn stwierdza między innymi, że od nazw narodowych nie tworzymy w ogóle rzeczowników zbiorowych, a więc nie mają odpowiedników w formie zbiorowej takie wyrazy jak *Francuz*, *Anglik*, *Niemiec*, *Hiszpan*, *Rosjanin*, *Grek* itd. Jeżeli zaś czasem utworzenie takiej nazwy dojdzie do skutku, to ma ona znaczenie wyraźnie ujemne, np. *Tatarstwo* obok *Tatarzy*, *Prusactwo* obok *Prusacy*, *Żydostwo* obok *Żydzi*. Do tego więc typu formacji mielibyśmy sami dołączać *Polactwo*? Byłoby to niewątpliwie dziwne.

W obronie *Polactwa* wypowiedzieli się niektórzy utalentowani pisarze, zwiedzeni chyba pozorem jakiejś krzepkości i rdzennej, ludowej dobitności tego wyrazu. Arty-

kuł prof. Ułaszyna wykazuje, że z tą domniemaną rdzenną i ludową polskością *Polactwa* nie jest wcale tak dobrze. Autor stykał się z tym wyrazem wśród *Polonii* niemieckiej blisko 40 lat temu i stwierdza, że wyraz ten miał zabarwienie wyraźnie ujemne, lekceważąco-zartobliwe, „mówiono np. *nalazło tu tyle tego Polactwa* lub *rozmnożyło się Polactwo*” (l. c. s. 146). Gdyby się kto dziwił, że Polacy sami o sobie tak mówili, to można by tu jeszcze dodać odpowiedni przykład z życia Polaków w Rosji, a nawet w byłym zaborze rosyjskim: zdarzało mi się mianowicie słyszeć od Polaków termin *Polaczyszki* stosowany do niesympatycznych osób narodowości polskiej przejęty z języka rosyjskiego, w którym termin ten ma znaczenie urągliwe. Prof. Ułaszyn stwierdza, że wyraz *Polactwo* odpowiada historycznie wyrazowi niemieckiemu *Polackei* utworzonemu od *Polacke* i mającemu znaczenie wyraźnie ujemne (można przypomnieć jego użycie w znanym, zjadliwie antypolskim wierszu Heinego: „Krapülinski und Waschlapski, Polen aus der Polackei”). Z czasem poczucie związku między *Polactwem* a *Polackei* zatarło się, *Polactwo* stało się dla niektórych wyrazem regionalnie swojskim i w jakiś swoisty sposób ekspresywnym (między wyzwiskiem a poufałym, zadzierzystym epitetem-komplementem granica bywa czasem płynna: można powiedzieć do kogoś *ty drabie* w taki sposób, że będzie to objawem zażyłości i życzliwości). Ale nie ma powodu do upowszechniania powstałej w ten sposób formacji.

Sprawa aktualności *Polactwa* wydaje mi się oparta na pewnym nieporozumieniu. Jeżeli nie ma terminu zbiorowego dla Polaków w Polsce, bo to są po prostu Polacy, to jaka jest właściwie potrzeba szukania nazwy koniecznej zbiorowej dla Polaków poza Polską? Czy nie zachodzi tu wypadek łudzenia się siłą słowa?

W tych warunkach, w których wyrazy *Polska* i *Polak* nie mają dostatecznej sugestywności, nie pomoże tworzenie jakichś formacji, które by miały mocą tego czy innego przyrostka ową sugestywność wskrzesić, ożywić, udynamicznąć, bo ładunek siły wyrazów tkwi nie w samych wyrazach, ale w duszach mówiących.

W. Doroszewski

W SPRAWIE O L Z Y I Ś L Ą S K A Z A O L Z I A Ń S K I E G O (artykuł informacyjny)

Na łamach „Miesięcznika Pedagogicznego” i „Zarania śląskiego” toczył się w latach 1900—1908 zacięty bój o O l z ę, którą pewne koła inteligentkie, powołując się na historyczne źródła¹⁾, przemianowały z prywatnej inicjatywy na O l s z ę i taką formę jeły propagować jako polską (odgermanizowaną) i jedynie poprawną.

¹⁾ „Odra... infra scriptos accipit fluvios. Prima O l s c h a m, qui in Sarmaticis montibus habet fontem...” (Długosz) i „Ferner die O l s z a (die Erle), deutsch O l s a u oder E l s e, die bei Oderberg mündet...” (Damroth), a do tego można by jeszcze dorzucić pozycję w Słowniku geograficznym (1886), gdzie O l s z a występuje jako forma oboczna i drugorzędna: „O l s z a albo O l z a, niem. O l s a, rzeka na Szląsku austr. górnym...”

Przeciwno tej akcji wystąpili najpierw dr Wieluch, ks. Macoszek i dr Farnik,

a potem językoznawcy krakowscy prof. Nitsch i prof. Rozwadowski, którzy się stanowczo opowiedzieli za Olzą.

Najpoważniejszym atutem po tej stronie jest twardy fakt, że lud śląski zna tylko Olzę (i odmienia ją według archaicznego wzoru jak tematy miękkie

Olza — gen. sing. Olze
jak ziemia — „ ziemie),

skąd prof. Nitsch odtworzył dawniejszą postać fonetyczną tej formy

*Ol6ga — *Oldza — Olza²⁾,

a prof. Rozwadowski uznał ją z kolei za „prastarą praindoeuropejską nazwę wodną, która pierwotnie znaczyła »wodę, ciecż«”.

Ostatecznie naukowa strona zagadnienia nie została całkowicie zlikwidowana, ale to dla celów praktycznych nie ma znaczenia: „Każdy człowiek, mający zdrowe zmysły, zrozumie zresztą, że gdyby nawet nie dało się wykazać, że Olza jest normalną kontynuacją fonetyczną dawniejszej postaci — że gdyby nawet przeciwnie było niezbitym faktem, że lat temu nie tylko kilkaset, ale, powiedzmy, jeszcze kilkanaście ta rzeka nazywała się Olsza, to i tak wszelkie próby „poprawiania” formy dziś ogólnie i wyłącznie przez lud śląski używanej byłoby nonsensem. Czemuż ci panowie, którym Olza spać nie daje, nie urzędzą krucjaty np. za przywróceniem „historycznych” form Sędomicza, Jana z Kęt... zamiast Sandomierza, Jana Kantego...?” (Rozwadowski, „Zaranie śląskie”, r. 1908, str. 176).

Dziś można by tylko dorzucić, że dawniejsi zwolennicy Olszy wszczęli swoją polemikę z pobudek źle pojętego patriotyzmu i szermowali przy tym naukowymi argumentami, współcześni zaś propagatorzy Olszy są już zwykłymi krzewicielami zamętu.

*

*

*

Przy okazji rozpatrzmy pokrótce pewną kwestię poprawnościową: jak utworzyć przymiotnik od Olza: z a o l z a ń s k i, z a o l z a ń s k i czy z a o l z i a ń s k i?

Pierwsza forma, która by była historycznie usprawiedliwiona w wypadku słuszności etymologii Olzy, wysuniętej przez prof. R., odpada jako hipotetyczna i nie używana, druga: z a o l z a ń s k i ogólnie się przyjmuje, chociaż jest nieprawidłowo utworzona, na co już zwracał uwagę w przemówieniach radiowych z dn. 12 i 19 października (w cyklu „Nasz Język”) prof. W. Doroszewski.

Mamy przecie przymiotniki t a t r z a ń s k i, n a d w i ś l a ń s k i... a nie *t a t r a ń s k i, *n a d w i ś l a ń s k i, a więc analogicznie powinniśmy także mówić o Ś l ą s k u z a o l z i a ń s k i m.

Jerzy Żebrowski

²⁾ Przejście *Oldza — Olza mogło się dokonać pod wpływem czeskim; ślad pierwszej postaci występuje w nazwie dopływu Olzy: O l e c k a (etymologicznie O l e d z k a).

Obiektywnym dokumentem świadczącym o tym, jakie odruchy uczuciowe wywołuje u rodowitych Ślązaków-nadolodrzy odruchy uczuciowe wywołuje u rodowitych Ślązaków-Nadolodrzy przez jednego z nich do działu językowego Polskiego Radia, który tutaj reproduujemy. (Red.).

DOTYCZY: „OLZA”. RZYM—KRYM! OLZA—OLSZA!

My Ślązacy dziękujemy za darzenie nas tym „upominkiem”! Nigdy nam się nawet nie śniło, by nasi rodacy z Macierzy chcieli wydrzeć nam naszą Olzę a obdarzyć nas jakąś Olszą! Znamy ją od dziecka jako naszą Olzę, gdyż nasi nauczyciele w polskiej szkole, nasi rodzice i dziadkowie tą nam bliską rzekę „Olza” wymawiali. Niemcy przyjęli tą polską nazwę o d n a s, według ich pisowni „Olsa”. Jedyne Czesi zawsze dbali o to, by wszystko co polskie wyeliminować. Zrobili to w bardzo prosty sposób — ich haczykiem „Olša”. Ale my Ślązacy—Nadolzianie nadal znamy, znamy i zawsze znać będziemy jedynie naszą Olzę i nie damy się uszczęśliwić żadną, obcą nam, Olszą. *Ferdynand Schnapka*

12.X 1938.

Nadolzianin z Darkowa.

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

Pewna korespondentka zwraca się z prośbą o wyjaśnienie sprawy żeńskich form tytułów naukowych. Korespondentce chodzi o sposób odmiany wyrażen *pani profesor, pani doktor, pani magister*, a może i *pani inżynier*. Wskutek wątpliwości językowych, zaznacza korespondentka, studentki w ogóle nie tytułują kobiet — profesorów, docentów, asystentów. Sprawa ta była wielokrotnie dyskutowana na zebraniach różnych towarzystw i w pismach poświęconych zagadnieniom praktyczno-językowym. Mówiąc krótko, są dwa stanowiska: jedni uważają, że nazwy *profesor, docent, minister* itp. są nazwami gatunkowymi, nie wymagającymi zaznaczania wtórnych odróżnień płci i że wobec tego wyrazów takich nie należy opatrywać żadnymi sufiksami, gdy mają one być stosowane do kobiet. Jest to stanowisko nieco doktrynalne. Zwolennicy tego poglądu w urzędach piszą: *pani taka a taka, asystent zakładu lub docent uniwersytetu, sekretarz związku i podobnie*. Te połączenia jednak wiele osób rażą, toteż spotyka się opinię, że we wszystkich wypadkach tego rodzaju należy się liczyć z tym, o kim mowa, i jeżeli mowa o kobiecie, uwydatniać to z pomocą przyrostka *-ka*, a więc mówić *doktorka, profesorka, docentka...* Ale o ile nazywanie kobiety *sekretarzem* czy *asystentem*, a nie *sekretarką* czy *asystentką* nie wydaje się słuszne i zresztą nie jest bynajmniej powszechne, bo niewątpliwie prościej jest *sekretarka, asystentka* i to się też słyszy, o tyle znowu nikt jeszcze, zdaje się, nie zalecał form *inżynierka, ministerka*. A wymagałaby ich już konsekwencja. Rzecz więc wygląda w ten sposób, że zwyczaj nie jest jeszcze ustalony, co oczywiście wiąże się z faktami natury społecznej, z tym mianowicie, że nie od dawna kobiety aspirują do stanowisk profesorów, docentów, ministrów.

Połączenie typu *pani doktor* pociąga za sobą wątpliwości w odmianie, często rozstrzygane w ten sposób, że z odmiany drugiego wyrazu w ogóle się rezygnuje i mówi

się: *rozmawiałem z panią doktor, oddałem pani doktor*. Ta składnia oburza niektórych, ale można dojrzeć analogię między tymi zwrotami a zwrotami budowanymi w podobny sposób wówczas, gdy wchodzi w grę *n a z w i s k o* żeńskie typu nie na *-ski*. Mianowicie w w. XIX stosunkowo bardzo często nie odmieniano nazwisk, porzeczając na odmianie imion. Np. na tytułowych kartach tomów słownika Lindego czytamy: „Słownik języka polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde”, często używano — a i dziś się to spotyka, w czym niesłusznie upatrują niektórzy objaw tendencji zupełnie nowej — takich połączeń jak *z panią Nowak, z panią Karpowicz* itp. A więc zwrot *z panią doktor* ma pewne historyczne odpowiedniki w języku polskim.

Czasem wytwarzają się różnicowania: *pani doktor* to tytuł, *doktorka* — to nazwa zawodu.

Sądzę, że w języku urzędowym zwroty typu *pani doktor, pani profesor* a w razie czego *pani minister*, mogą się utrzyć, ale że z drugiej strony naturalna skłonność do odmieniania wyrazów na sposób polski spowoduje pewne rozszerzenie się form na *-ka*: gdy obok *studenta* jest *studentka*, to nie warto przeszkadzać *asystentce, sekretarce, docentce* — ani zresztą żadnej kobiecie, której zależy na wyraźnie żeńskiej formie przysługującego jej tytułu. Można przewidywać, że się dokona pewne rozgraniczenie między *panią doktor* a *doktorką*, to znaczy między typami, które zapadają nad pewnymi grupami wyrazów.

Inż. B. zapytuje, czy rzeczywiście *wagon doczepny* jest lepszym terminem niż *wagon przyczepny*? Może tu iść o dwie kwestie: 1) o pochodzenie każdego z wymienionych wyrazów, 2) o wartość każdego z nich pod względem znaczeniowym i stylistycznym. Co do pochodzenia, to może ten, kto zaproponował termin *doczepny* — nie znam jego historii w kolejnictwie — uważał wyraz *przyczepny* za rusycyzm, po rosyjsku bowiem odpowiedni termin brzmi *прицепной вагон*. Fakt jednak, że jakiegoś wyrazowi polskiemu odpowiada podobny wyraz rosyjski, nie jest jeszcze wystarczającym powodem do tego, by go w języku polskim nie używać, bo gdybyśmy tak postępowali, to byśmy musieli mnóstwo wyrazów wspólnych obu językom słowiańskim z polszczyzny powyrzucać. Ten kompleks obawy, na który zapadają czasem miłośnicy języka, ma — jak wszelki strach — zbyt wielkie oczy i również jak wszelki strach jest złym doradcą.

Porównywając wyrazy *doczepny* i *przyczepny* możemy się uniezależnić od sprawy możliwej genezy każdego z nich i po prostu porównać je ze sobą, by dojść do wniosku, który jest lepszy. Korespondent zaznacza, że ani u Lindego, ani w Słowniku Wileńskim wyrazu *doczepiać* w ogóle nie znalazł. Wyraz ten jest jednak w Słowniku Warszawskim, który notuje formy i *doczepiać* i *doczepić*, objaśnia zaś czasownik jako znaczący: »przyczepić, przydać, dodać, dołączyć«. Przykład: „Doczepił dzieje przeszłości państw obu do historii inflanckiej”. *Przyczepić* objaśnione jest w charakterystyczny sposób: »zaczepiwszy przyłączyć, byle jak; przypiąć, przywiesić, przyszpilić, przywiązać, uczepić«. W Słowniku Wileńskim czytamy objaśnienie *przyczepić* »przypinać, przyszpilać, przywiązywać, żeby co przy czym wisiało«. Z cza-

sownikami *przyczepić* łączą się jak widzimy i jak zresztą bez słowników sami możemy wyczuć — odcienie znaczeniowe czynności wykonanej „byle jak” i polegającej najczęściej na uwieszeniu czegoś przy czymś. Wyraźnie ujemny odcień ma ten czasownik w wyrażeniu *przyczepić się do kogoś*, wywołującym obraz czegoś czepiającego się natrętnie, uporczywie. Tych odcieni nie ma czasownik *doczepić*, w którego znaczeniu przeważa moment łączenia czegoś z czymś. Te względy pozwalają uznać określenie *wagon doczepny* za nieco lepsze niż *wagon przyczepny*: chodzi tu o wagon, który się doczepia, a nie o taki, który jest tylko „na przyczepkę”.

Drugie pytanie tegoż korespondenta: czy zachodzi jaka różnica między *chronić* i *ochraniać*, a więc czy można na przykład mówić: piorunochron ochrania dom od uderzeń pioruna lub też chroni go. Różnica polega na odcieniu. Mówimy *parasol chroni od deszczu*, *firanka od słońca*, posługując się czasownikiem *chronić* w znaczeniu mniej więcej technicznym. W tymże znaczeniu można użyć i formy *ochraniać*, ta forma jednak bywa wyzyskiwana i dla oddania szerszego, trochę przenośnego odcienia »roztaczania opieki«. W tej funkcji użyte np. *ochraniać* u Mickiewicza: „Panno Święta... Ty co gród zamkowy Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem”.

O ile chodzi o piorunochron, to najprostszym dla określenia jego funkcji wydaje się czasownik *chronić*, a więc piorunochron chroni od uderzeń pioruna.

P. H. K. z Grudziądza zapytuje „jakie jest znaczenie wyrazu *przyszły*?” A chodzi mu w tym zapytaniu o to, czy np. w sobotę 19 marca można powiedzieć o poniedziałku 21 marca: „przyszły poniedziałek”. W słownikach *przyszły* jest objaśniany jako »mający nastąpić«. Gdy mówimy, że coś zostanie wykonane w przyszłym roku, miesiącu czy nawet tygodniu, to myślimy o okresach najbliższych, a nie o mających nadejść w przyszłości bliżej nieokreślonej. Inaczej natomiast jest z dniami. Jeżeli powiem w sobotę 19, że coś zrobię w *przyszły* poniedziałek, to słuchający będzie skłonny najbliższy poniedziałek 21, opuścić i zrozumieć, że mam na myśli poniedziałek następny, dwudziestego ósmego.

Przyszły znaczy zatem »mający nastąpić w okresie czasu najbliższym po okresie obecnym« i w ten sposób należałoby podawaną w słownikach definicję uzupełnić: jeżeli więc w roku 1938 mówimy o roku przyszłym, to mamy na myśli rok 1939. Podobnie jeżeli dziś we środę 19 powiem, że w przyszłą środę np. wyjeżdżam, to zapewne zrozumieją państwo, że myślę o środzie najbliższej, 26: bo w chwili mówienia znajduję się w okresie trwania środy, a gdy ten okres się skończy, to najbliższym takim okresem następnym będzie najbliższa środa. Jeżeli natomiast w chwili mówienia jest okres poniedziałku, a ja użyję wyrażenia: *przyszła* środa, to wyraz *przyszła* skłonni jesteśmy rozumieć jako: następująca po okresie środy najbliższej, czyli o jedną środę dalsza. Oczywiście są i luźne użycia wyrazu *przyszły*, zwłaszcza gdy jest używany w liczbie mnogiej, np. *przyszłe lata*.

Dawniej wyraz *przyszły* oznaczał nie tego, który przyjdzie, ale tego, który przyszedł: „Ujrzał w widzeniu anioła bożego do siebie przyszłego”, „poszedł chcąc wiedzieć, jakby się miał; przyszłemu powiedzieli, że umarł”, „wielka różnica między zapracowanym groszem a letko przyszłym”.

W. D.

CO PISZĄ O JĘZYKU?

— Po zgonie ś. p. profesora Stanisława Szobera, prócz informacyjnych nekrologów zawierających dane o życiu i pracach Zmarłego, a zamieszczonych dosłownie przez całą prasę polską, ukazało się wiele artykułów indywidualnych. Wbrew serdecznej chęci, która nakazuje ręce przepisać wszystkie te najprawdziwsze i najzasłużeńsze głosy uznania, czci, miłości i żalu, w rubryce niniejszej zanotujemy tylko te głosy.

W *Gazecie Polskiej* z 5.X. b. r. poświęca Zmarłemu artykuł zawierający charakterystykę naukową prac Zmarłego, a zarazem będący wspomnieniem osobistym prof. Doroszewski.

Józef Rossowski („Po zgonie prof. Szobera”. *Polska Zbrojna* z 3.IX) pisze o cennym a rzadkim połączeniu erudyty i uczonego z popularyzatorem nauki w osobie Zmarłego oraz o uczuciu, które tak wielką grało rolę w życiu i dziełach Profesora.

Wanda Hillerówna („Odchodzą wielcy”, *Goniec Częstochowski* z 9.IX) kończy swój pełen serca artykuł tymi słowy: „Dzisiaj, gdy musimy Go żegnać, opuszczającego polską placówkę naukową w sile lat męskich i zdolności twórczych, nie tylko musimy żałobny hołd złożyć Jego świetlanej pamięci, lecz także i przede wszystkim hołd głębokiej wdzięczności i czci za to, że był nauczycielem i wychowawcą pierwszych młodych pokoleń, kształcących się na wolnej ziemi polskiej. Nauczył je kochać, szanować i cenić piękno i czystość mowy ojców — i to Jego niezatarta zasługa i ranga do nieśmiertelności”.

Dziennik Czas, w którym Profesor zamieszczał w ostatnich czasach swe prace popularno-poprawnościowe, pisze m. in. „(Zmarły) stworzył nowy i odrębny gatunek literacki: artystyczny szkic z dziedziny filozofii języka”. A w zakończeniu: „Językoznawstwo, jak je pojmował prof. Szober — podobnie jak ś. p. prof. Rozwadowski — było nauką o człowieku i duszy ludzkiej”. Powyższe słowa ukazały się w *Czasie* bezpośrednio po śmierci prof. Szobera (31.VIII), 11 zaś września cały dodatek literacki poświęcono pamięci Zmarłego. W hołdzie tym wzięli udział: prof. Doroszewski, doc. Kułakowski, pp. Godziszewski i Kaliszewski. Dodatek zawiera jeden z dawniej już drukowanych artykułów Profesora. 14.IX; w tymże piśmie ukazał się jeszcze pełen osobistych doznań ustęp Zb. Konarzewskiego. Autor pisze: „Szczerze żałuję, że nie zapisywałem głębokich myśli Profesora, wypowiedzianych w czystej, kryształowej formie, z siłą wewnętrznego zapалу wiecznego romantyka, który miał poetycką naturę i nic z przysłowiowej suchości uczonego językoznawcy”.

Z głosów indywidualnych trzeba jeszcze wspomnieć o *Gońcu Warszawskim* (4.IX), *Expressie Porannym* (31.VIII), *Kurierze Łódzkim* (4.IX).

Znana w ogólnym zarysie naszym czytelnikom dyskusja nad programem polonistyki uniwersyteckiej wzbogaciła się w ostatnich miesiącach kilku ważkimi wypowiedziami. Mamy tu na myśli, ujmując rzecz chronologicznie, artykuły: prof. Juliana Krzyżanowskiego „Na temat reformy studiów polonistycznych” (*Gazeta Polska* z 16.IV), prof. Witolda Doroszewskiego „O humanistyce, polonistyce i rzeczach

pokrewnych" (toż pismo z 29 i 30.IV), prof. K. Nitscha „O językowym dziale studiów polonistycznych" (*Język Polski* za maj—czerwiec), prof. Z. Łempickiego „Za wiele czy za mało?" (*Kurier Warszawski* z 18.VI) i polonisty gimnazjalnego F. Bielaka „O przyszłego polonistę" (*Głos Narodu* z 24.VII).

Dawniejsza i obecna wymiana poglądów, której nie obce są ostre nawet starcia polemiczne, ustaliła niezbitcie pewne fakty: 1) skrajne stanowisko prof. Kołaczkowskiego, wzbudzające łatwy zachwyt niezupełnie świadomych rzeczy czytelników, a w istocie swej nie podtrzymywane nawet przez innych historyków literatury jest całkowicie nie do utrzymania; 2) reforma studium polonistycznego stała się koniecznością; 3) powinna ona iść nie w duchu krańcowego wyosobniania się dyscyplin humanistycznych, lecz przeciwnie, tworzenia między nimi istotnych powiązań; 4) należy pchnąć naprzód naukę o stylu (poetykę).

— O ile dyskusja polonistyczna, już choćby ze względu na osoby udział w niej biorące, jest twórcza i celowa, o tyle trudno cokolwiek dodatniego powiedzieć o coraz to jeszcze pobrzmiwających głosach w sprawie ortografii. Ukazują się w prasie biuletyny Komitetu Obrony Języka, nadto zaś artykuły i nadsyłane do redakcji listy poszczególnych autorów. W dalszym ciągu nie brak *curiosów*, które zresztą nabrały już cech typowości. Dla przykładu podajemy dwa głosy z pism stojących politycznie na dwóch biegunach. Oto p. A. Kuczyński pisze w *Czarno na Białym* (25.IX): „czy nie za daleko posunął się areopag, uchwalający nową pisownię, czy nie popełnił grzechu przeciwko mowie, przeciw prawom naturalnego rozwoju żywego języka, narzucając zmiany, które ten piękny język zubożyły". A p. Ela Ney w liście do *Mercurysza Polskiego*: „...,dziś, gdy Polska odzyskała wolność, zmuszają nas do wyrzeczenia się mowy naszej i do przyswajania cudaczných zmian wykombinowanych przez klikę dziwaków..."

Powiedziano, że głupstwo jest wieczne. Należy dodać: i powszechne.

Nie wdając się w jałowe spory musimy raz jeszcze podkreślić następujące stwierdzenia: 1) człowiek mówiący nie zdaje sobie sprawy z własnej wymowy, taka samo-kontrola bywa trudną nawet dla fachowcy językoznawcy; 2) sprawa pisowni jest sprawą porządku kulturalno-społecznego; 3) prymitywne ujęcie rzeczy i brak historycznej podstawy razi zawsze i wszędzie.

A. S.

OD REDAKCJI

Poradnik Językowy służy sprawie szerzenia w opinii ogółu poglądu, że język to jedna z żywych form działalności i pracy duchowej człowieka a zarazem jedno z jego najważniejszych narzędzi w kształtowaniu świadomego stosunku do świata i w zdobywczej walce z tym światem. W życiu języka uczestniczymy wszyscy, toteż sprawy języka ojczystego są wszystkim bezpośrednio bliskie i od wszystkich wymagają czynnej i świadomej postawy.

Konieczność dbałości i troski o język instynktownie rozumiana jest przez szeroki ogół mówiących. Aby poczynaniom płynącym z tego odruchowego rozumienia zapewnić rzeczowość i owocność, należy koordynować je z naukową pracą nad językiem, bowiem tylko w takim współdziałaniu dadzą się wyzyskać w pełni wszystkie tkwiące w języku wartości kulturalne i wychowawcze.

Redakcja *Poradnika* pragnęłaby, aby pismo nasze, poświęcone sprawom poprawności i kultury języka, jednocześnie pełniło zadanie koordynowania nauki języka polskiego na wszystkich szczeblach tej nauki, od szkoły powszechnej począwszy, a na uniwersytecie kończąc, oraz aby było trybuną wymiany myśli o tych sprawach dla tych, kogo one z natury rzeczy obchodzą najbliżej, to znaczy dla nauczycieli.

KRONIKA

Na zebraniu Zarządu Towarzystwa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka dnia 12 października b. r. Prezesem Towarzystwa wybrany został prof. dr Witold Doroszewski, redaktor „Poradnika Językowego”.

W związku z tym obecny adres siedziby Towarzystwa jest następujący: Warszawa 36, Morszyńska 43.

REDAKTOR: PROF. WITOLD DOROSZEWSKI

KOMITET REDAKCYJNY: DR HENRYK FRIEDRICH, DR HALINA KONECZNA, PROF. STANISŁAW SŁOŃSKI, DR JÓZEF TARNACKI.

WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
STANISŁAW KWIATKOWSKI

INFORMACJE OGÓLNE

Spisy błędnych i mniej właściwych zwrotów języka, używanego w biurach i urzędach można nabywać w Księgarni M. Arcta w Warszawie, Nowy Świat 35. Spis nr. 1 (w drugim i trzecim wydaniu) i Spis nr. 2 i 3 — zeszyt po gr 30 (z przesyłką gr 40). Należność prosimy przysyłać w znaczkach pocztowych przy zamówieniu. Dla biur — w większych ilościach — ustępstwa.

W Redakcji Poradnika Językowego (Smulikowskiego 1) można zamawiać dawne roczniki „Poradnika”: 1903, 04, 07, 09, 23, 25, 26, 29, 31 (krakowskie) i nowsze 1932, 33, 34 (warszawskie). Odstępujemy je po cenach następujących: roczniki do roku 1923 po 0,50 zł, 25 do 31 po 1 zł, 32 — 34 po 2,50 zł. Za komplet roczników (1903 — 31) — 6 zł, za komplet 12 roczników (1903 — 34) — 13 zł. Roczniki od roku 1935 dostarcza Administracja (Smulikowskiego 1). Przy pojedynczych tomach doliczamy koszty pocztowe, przy większej liczbie — nie. Luźnymi zeszytami służymy po 30 gr, z roku 1935 i 35/36 po 50 gr.

Pozostałe egzemplarze pracy ś. p. Red. Romana Zawilińskiego p. t. „Dobór wyrazów” zostały powierzone do sprzedaży „Naszej Księgarni”, Warszawa, Świętokrzyska 18. Pierwotną cenę zł 30.— zniżono obecnie do zł 10.—.

Reklamacje co do nieotrzymania zeszytów prosimy przysyłać do Administracji najpóźniej z nadejściem następnego zeszytu. Przy reklamowaniu po upływie całego miesiąca żadne sprawdzenie nie jest możliwe i dlatego takie zeszyty będziemy obliczać osobno. Każdą zmianę adresu prosimy podać do wiadomości Administracji. Wszelkie wpłaty kierować należy do Administracji (P. K. O. 435).

Na zapytania dotyczące poprawności języka na ogół odpowiadamy w najbliższym zeszycie; na żądanie — listownie za nadesłaniem znaczka pocztowego. Wszyscy zapytujący zechcą podawać swoje adresy, nie każde bowiem zapytanie nadaje się do roztrząsania w druku, bo nie każde zaciekawia ogół czytelników, — zresztą i po wtarzać się nie możemy. Bez adresu tedy, zapytanie takie musi pozostać bez odpowiedzi. Zapytania podpisywać można inicjałami. Kierować je należy do istniejącej przy T-stwie Poradni Językowej.

Prenumeratory, którzy, opłaciwszy pismo, mimo to otrzymują w zeszytach blankiety na PKO, zechcą nie uważać tego za przynaglanie do zapłaty, blankiety co pewien czas wkłada się do wszystkich zeszytów, — indywidualizowanie byłoby przy wysyłce zbyt trudne.

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania do nadsyłanych artykułów drobnych zmian i skrótów bez odwoływania się do autorów.



Zamówienia przyjmuje Wydział Wydawniczy
Z. N. P. w Warszawie, ul. Smulikowskiego 4
Telefon 269-49, oraz Sklep „Płomyka”
ul. Świętokrzyska 18
Telefon 522-18. Konto P. K. O. 6880.

nadających się specjalnie do samodzielnej
pracy nauczyciela

ILUSTRACJI SZKOLNEJ

5 NOWYCH SERJI

Przypominamy również o potrzebie zapre-
numerowania przez wszystkie szkoły

Z. N. P.
sya na żądanie Wydział Wydawniczy
który wraz z uwagami metodycznymi wy-
nowy katalog ILUSTRACJI SZKOLNEJ,
nie na terenie klas i szkół, opracowano
materiału oraz ułatwić jego rozpowszechnia-
w zakresie ilości i jakości już wydanego
Pragnąc dać nauczycielowi ogólną orientację

Pod takim hasłem powinien prowadzić
swą pracę nauczyciel w całej Polsce
w ciągu 10 miesięcy szkolnych

„SZCZĘŚLIWE DZIECKO – MA ILUSTRACJĘ SZKOLNĄ”

Pod takim hasłem obradował Pierwszy Ogól-
nopolski Kongres Dziecka w Warszawie
w dniach od 2-4 października

„SZCZĘŚLIWE DZIECI – MOCNA POLSKA”



SERIA III. WZRESZCIEN 1934 R.

ILUSTRACJA SZKOLNA